

Anna Jarmusiewicz

Z ziemi obcej do Polski : emigranci w swoich pamiątkach

Przegląd Socjologiczny Sociological Review 24, 229-240

1971

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ANNA JARMUSIEWICZ

Z ZIEMI OBCEJ DO POLSKI EMIGRANCI W SWOICH PAMIĘTNIKACH

Jeszcze jeden znamieny przyczynek do historii polskiego wychodźstwa stanowią wydane w 1965 r., staraniem Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną *Pamiętniki emigrantów*¹ — wybór opracowany i opatrzony wstępem przez Kazimierza Koźniewskiego.

Pamiętniki (oprócz końcowego pt. *Ostatnia fala*) nadesłali ludzie, którzy Polskę opuścili w czasach największego nasilenia emigracji politycznej i zarobkowej (przełom XIX i XX w. dwudziestolecie międzywojenne) i którzy reprezentują główny zręb szacunkowo obliczanej 8-milionowej rzeszy osób pochodzenia polskiego, zamieszkałych na stałe poza granicami kraju.

Opublikowane wspomnienia są ilustracją zmagania o zdobycie materialnych środków do życia, walki o prawa i samookreślenie w nowym, obcym i odmiennym środowisku, a jednocześnie są dokumentem narodowej odporności pamiętnikarzy nawet w wypadku ich zaasymilowania się w nowych warunkach, co więcej, nawet wobec uznania kraju osiedlenia za ich drugą ojczyznę.

Ten rys dziejów pamiętnikarzy: walka o utrzymanie polskiej świadomości narodowej, tradycji, języka i obyczaju, słowem kultury narodowej, jest cechą szczególną omawianej tu serii wspomnień. Pamiętniki te nie są co prawda wolne od czysto bytowej, prozaicznej refleksji, bo fakty trudnego startu żadnemu z piszących nie były obce, dominującą wszakże cechą jest tu nuta patriotyczna: troska o utrzymanie więzi ze Starym Krajem, o stworzenie organizacji i stowarzyszeń, które by jednoczyły ludzi wywodzących się z Polski, o wychowanie następnych pokoleń w pamięci i szacunku dla kraju ich przodków.

Nader wymowne są wspomnienia zasłużonych działaczy i społeczników polonijnych: Wojciecha Albrychta *Z ziemi obcej do Polski*, Sta-

¹ *Pamiętniki emigrantów*. Wybór i przedmowa Kazimierz Koźniewski, Warszawa 1965, Wydawnictwo „Polonia”.

niśława Anzelma Zaklikiewicza *Pracownik pióra*, Michała Sekuły *O polską szkołę* i Stanisława Pyzika *Naukowiec i działacz*.

Z ziemi obcej do Polski — to pamiętnik Wojciecha Albrychta, jednego z twórców polskich oddziałów wojskowych w Ameryce Północnej i Kanadzie, czynnego działacza organizacji „Sokół”. Wysłany w roku 1905 przez rodziców do Ameryki w wieku 13 lat, miał wspomagać zza oceanu swoje młodsze rodzeństwo. Pochodził z biednej podkarpackiej wioski — Lubatówki; jego ojciec, chłop małorolny, parający się sezonowo kowalstwem, obarczony był liczną rodziną. Pamiętnikarz pracował początkowo u krewnych na roli, potem szybko się usamodzielniał i z pomocą znajomych rodaków znajdował różne zajęcia: był robotnikiem w fabryce, chłopcem do posług w banku, mechanikiem w warsztacie samochodowym.

Praca w fabryce, pierwsza jaką podejmowali prawie wszyscy polscy emigranci, była niezwykle ciężka. „Robotnicy ci ciężko pracowali: albo na akord, a wtedy harowali prawie do wycieńczenia, albo na dniówki — mniej płatne, ale i wtedy bez zatrzymywania się w pracy, bez oglądania się [...]. Trzeba też było szybko załatwiać się w ustępie, bo i to było wytykane; podczas udawania się do ustępu kierownik spoglądał na zegarek. Pracowano 9,5 godzin, z tego pół godziny odliczano na niepłatny czas obiadu. Kiedy się opuszczało fabrykę po skończonej pracy, było się tak fizycznie wyczerpanym, że do domu szło się powolutku”².

O jakichś wyższych aspiracjach w tych warunkach nie było mowy. „Robotnicy polscy nosili skromne, tanie ubrania, nie interesowały ich ani gazety, ani książki, nie uczyli się języka angielskiego. Pragnęli tylko zarobić i powrócić z pieniędzmi do swojej wsi, aby móc powiększyć swe gospodarki. To był ich jedyny cel pobytu w Ameryce”³.

Jedność i wzajemne zrozumienie się Polaków zakłócały początkowo nie tyle miejscowe waśnie i swary, co zadawnione jeszcze dzielnicowe partykularyzmy. Gros emigrujących w początkach XX w. wywodziła się z biednych, zacofanych wsi. „Ci z Galicji uważali Królewaków za Rusków, mówili, że są to ludzie innej wiary, bo cysorz to nie katolik, bo w Ojca św. nie wierzy. Bywało — kiedy dziewczyna wyszła w Ameryce za mąż za Królewaka, to znajomi z jej wsi, przebywający w Ameryce, pisali listy do rodziny w kraju donosząc, że wyszła za Ruska. I wtedy rodzina w kraju szła do proboszcza, dawała na mszę śpiewaną, aby przebłagać Boga za śmiertelny grzech”⁴.

² *Ibidem*, s. 16.

³ *Ibidem*, s. 16—17.

⁴ *Ibidem*, s. 19.

Tak było w mniejszych ośrodkach; w większych Polacy trzymali się razem, byli bardziej solidarni i nawzajem sobie pomocni.

Wcześniej, bo mając zaledwie 14 lat, przystąpił W. Albrycht do ruchu zwanego Pogotowiem Zbrojnym Wychodźstwa Polskiego w Ameryce, utworzonego przez Związek Sokolstwa Polskiego w Ameryce w 1912 roku. Zaczęto tworzyć wówczas Sokole Drużyny Polowe, z którymi prowadzono ćwiczenia wojskowe, szkolenia i kursy.

Parę słów o wspomnianej organizacji „Sokół”. Na ziemiach polskich powstała w 1867 roku we Lwowie, potem towarzystwa sokole zakładano w każdym zaborze. Ruch ten prowadził działalność natury patriotyczno-sportowo-towarzyskiej. O programowych założeniach tego ruchu czytamy w *Encyklopedii*: „Sokół, organizacja społeczno-wychowawcza ma na celu podniesienie działalności fizycznej narodu i wyrobienie wszelkich cnót obywatelskich, stanowiących podstawę miłości ojczyzny. Dla osiągnięcia powyższych celów organizacja dąży przez szerzenie zamiłowań do ćwiczeń fizycznych, wszelkich sportów, gier i zabaw ruchowych, urządzenie zlotów gimnastycznych, popisów i zawodów lekkoatletycznych, współdziałanie w przysposobieniu wojskowym młodzieży, urządzenie obchodów, odczytów i zebrań kulturalno-oświatowych, szerzenie ducha braterskiego wśród stowarzyszonych”⁵.

Tego rodzaju organizacja jak najbardziej odpowiadała potrzebom emigracji polskiej; liczne gniazda sokole powstawały nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale także we Francji, Brazylii czy w Niemczech.

W. Albrycht brał udział w wielu kursach, które dawały uczestniczącym w nich nie tylko wykształcenie wojskowe, lecz i ogólne; wykłady obejmowały również język polski, geografiię i historię. Szybko zdobył uznanie i w 1915 roku Zarząd Główny Związku Sokolstwa Polskiego powołał go na płatnego instruktora i naczelnika w okręgu Connecticut. „Porzuciłem więc dotychczasową pracę — wspomina — i zająłem się sprawami wojskowymi i ćwiczeniami drużyn harcerskich. Naprawdę dużo radości sprawiło mi ćwiczenie młodzieży polskiego pochodzenia, garnącej się w szeregi harcerstwa. Była to najlepsza organizacja polonijna zachowująca młodzież przy polskości”⁶.

Wybuch pierwszej wojny światowej poruszył wszystkich Polaków przebywających poza krajem. Największa organizacja polonijna — Związek Narodowy Polski, już w 1910 roku wytyczył cel działania wszystkich polonijnych oddziałów wojskowych, deklarując: „My, Polacy, mamy prawo do bytu samodzielnego narodowego i uważamy za swój

⁵ *Encyklopedia powszechna*, t. 5, Warszawa 1927, s. 102. Nakładem Trzaski, Everta i Michalskiego.

⁶ *Pamiętniki...*, s. 35.

obowiązek dążyć do osiągnięcia niepodległości politycznej naszej ojczyzny”⁷. Wojna stwarzała ku temu sposobność, ale sprawa nie była prosta. Do zorganizowanego we Francji Legionu Polskiego garnęli się zewsząd ochotnicy, jednak ze Stanów Zjednoczonych czy Brazylii na wyjazd im nie zezwalało, dopóki kraje te były neutralne.

Za namową naczelnika Związku Sokolstwa W. Albrycht postanowił stworzyć oddziały polskie przy armii kanadyjskiej; rząd Kanady wyraził na to zgodę. Na szkolenie do szkoły oficerskiej w Toronto wyjechało potajemnie kilkanaście osób. Potajemnie, bo wraz z wybuchem wojny wśród organizacji polonijnych nastąpił rozłam: „Polonia amerykańska została rozbita na dwa obozy: jeden, mniejszy, popierał politykę legionów Piłsudskiego przy boku wojsk austriackich i niemieckich przeciwko Rosji. Był to obóz z Polską Partią Socjalistyczną na czele. Drugi obóz był stanowczo przeciwny łączeniu się z Niemcami, uważając ich za najgroźniejszych historycznych naszych wrogów. Ten obóz był liczniejszy i bardziej wpływowy”⁸. Wkrótce jednak wszystkie większe ugrupowania, jak Związek Narodowy Polski, Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie, Związek Polek i wreszcie Sokolstwo, ustaliły wspólną linię działania, opowiadając się za „wariantem” kanadyjskim.

W Niagara on the Lake w Kanadzie polecono pamiętnikarzowi zorganizować obóz szkoleniowy dla polskich ochotników. Obóz powstał dopiero w 1917 roku, po utworzeniu we Francji samodzielnej armii polskiej pod dowództwem najpierw francuskim, a potem polskim gen. Hallera oraz po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny i zezwoleniu na rekrutację do tej armii. „Gdyby rząd Stanów Zjednoczonych udzielił wcześniej zezwolenia na rekrutację do armii polskiej — pisze Albrycht — to z tych 180 tysięcy ochotników, którzy poszli do armii amerykańskiej, większość byłaby poszła do armii polskiej. To opóźnienie wydania zezwolenia było celowe, aby jak najwięcej Polaków ściągnąć do szeregów USA. Dane nam zezwolenie na rekrutowanie zawierało ograniczenia co do wieku i stanu rodzinnego”⁹.

Uderzająca była niezwykła ofiarność przybywających tłumnie do obozu ochotników. Nie zrażał ich ani brak odpowiednich pomieszczeń (nawet w zimie mieszkano w namiotach), ani symboliczny żołd — 5 centów dziennie, gdy w armii amerykańskiej płacono szeregowcowi dziennie 1 dolar 10 centów. Wielu ochotników zaraz po przyjeździe składało na ręce W. Albrychta swoje oszczędności. Szeregi ochotniczej armii polskiej rosły bardzo szybko. Już w listopadzie 1917 roku odbyła się

⁷ *Ibidem*, s. 31.

⁸ *Ibidem*, s. 34.

⁹ *Ibidem*, s. 55.

defilada trzech batalionów, na którą przybył orędownik sprawy polskiej w Ameryce — Ignacy Paderewski. Z wielkim muzykiem, politykiem i patriotą autor pamiętnika stykał się kilkakrotnie.

Tworzącej się armii czynnie pomagała cała społeczność polska w Stanach Zjednoczonych. „Pierwszy sejm wychodźstwa — wspomina W. Albrycht — który zebrał się w Detroit w 1918 r., uchwalił dobrowolne opodatkowanie wychodźstwa po 6 dolarów przy 1200 dolarach rocznego dochodu, a 10% przy dochodzie ponad tę kwotę”¹⁰. Po wojnie pomoc skierowano na rzecz kraju. Zakupiono akcje Banku Polskiego za milion złotych. W. Albrycht do Francji wyjechał wraz z ostatnim transportem ochotników, by w 1919 roku wrócić wreszcie do ojczyzny.

Do Ameryki wyjeżdżał jeszcze kilkakrotnie, ale już po drugiej wojnie światowej. Z racji znajomości języka i stosunków polonijnych piastował przez kilka lat godność konsula w Chicago, Detroit i Nowym Jorku.

Nieco inny charakter ma pamiętnik drugiego polskiego działacza z terenu amerykańskiego — Stanisława Anzelma Zaklikiewicza. Wspomnienia autora są krótką kroniką rozgrywek politycznych toczących się w największym z polonijnych zrzeszeń — w Związku Narodowym Polskim w latach 1924—1930. Pamiętnikarz był dziennikarzem, korespondentem wielu pism polonijnych i jednocześnie zapalonym działaczem liberalnego skrzydła ZNP. Pochodził ze wsi podkarpackiej Gądky. Po ukończeniu szkoły wydziałowej w Jaśle w 1907 roku, za namową brata wyemigrował do Ameryki. Piórem parał się wszakże nie od razu, bo choć posiadał, jak pisze, „wrodzony instynkt”, brakło mu odpowiedniego przygotowania i praktyki. Pracował więc z początku w fabryce, czas wolny wykorzystując na dokształcanie się i korespondencję z różnymi polskimi pismami.

Zetknięcie się ze środowiskiem ludzi najuboższych uświadomiło mu jego właściwe powołanie: „A jednak, chociaż harowałem ciężko, to jednak muszę stwierdzić, że dużo skorzystałem z tych osobistych kontaktów i poznania pracy robotnika. Widziałem niesprawiedliwość, ponieważ i wyzysk robotnika przez niesumienny i bezduszny kapitał i stałem się gorącym zwolennikiem sprawy robotniczej [...] Będąc z natury człowiekiem bardzo spokojnym, byłem mimo to uważany za czerwonego radykała”¹¹.

Ciekawy fragment pamiętnika stanowią reminiscencje autora z czasów formowania się pierwszych organizacji wśród przybyłych do Ameryki emigrantów. Pierwotnym miejscem spotkań były tzw. saluny

¹⁰ *Ibidem*, s. 56.

¹¹ *Ibidem*, s. 65.

(gospody), gdzie czas spędzano przy kuflu piwa i zakąsce, urozmaicając posiedzenia grą w karty, bilard i kręgle. Prócz salunów punktami zborowymi były parafie, te wszakże pamiętnikarz odsądza od czci i wiary, przypisując im szerzenie ducha klerykalnego i znikomą użyteczność. Rzecz ciekawa, że instytucja sal przy polskich kościołach parafialnych nie cieszy się sympatią żadnego z pamiętnikarzy — akcenty antyklerykalne spotkać można w większości wspomnień. Saluny były więc pierwszą formą życia towarzyskiego emigrantów. „Nim zaczęto budować sokołnie i domy narodowe, sale przy salunach polskich były miejscem posiedzeń, zabaw i życia organizacyjnego ogromnej większości grup i gniazd sokołich”¹².

Wróćmy jednak do właściwej treści pamiętnika — do rozgrywek politycznych. Po pierwszej wojnie światowej walki wewnętrzne wśród zrzeszeń polonijnych znacznie się zaostrzyły. „Akcja na rzecz Polski rozdzieliła się zarówno w działalności społecznej, jak i politycznej — pisze autor. — Wystąpiły silne, często dramatyczne podziały w zapatrywaniach. Skryształizowały się dwa ideologiczne poglądy: konserwatywny Przy Polskiej Radzie Narodowej, z Paderewskim, Smulskim i Żychlińskim na czele, i postępowy przy Komitecie Obrony Narodowej, z profesorem Żuławskim i redaktorem Kułakowskim jako ideologicznymi przywódcami z obozu PPS”¹³.

We wspomnieniach pisarza znaleźć można pewien znamieny passus. Na Kongresie Polonii Zagranicznej w Warszawie (rok 1929, potem rok 1932) delegacja amerykańska odmówiła przystąpienia doń na prawach członka, proponując jedynie współpracę kulturalną. Oto fragment uzasadnienia: „Polonia amerykańska ma zupełnie inny status polityczny niż ośrodki polonijne w jakichkolwiek innych krajach. Jesteśmy pełnoprawnionymi obywatelami Stanów Zjednoczonych i musimy działać politycznie tylko z tej platformy. Dla nas, jako obywateli amerykańskich, istnieje tylko jedna przynależność i jedna lojalność — dla naszego kraju, Stanów Zjednoczonych”¹⁴.

Przybywający na obczyznę polscy emigranci stanęli przed trudnym zadaniem. Z czasem zdobyli co prawda lepsze czy gorsze zabezpieczenie materialne, pozostał wszakże nierozwiązany problem innej, psychologiczno-socjologicznej natury. Ludzie ci weszli w krąg społeczności i kultury całkowicie im obcej. Na tym gruncie ich świadomość narodowa musiała ulec szybkiemu przeobrażeniu, a właściwie samookreśleniu. Nie czując się związanymi z nowym środowiskiem — poprzez organi-

¹² *Ibidem*, s. 64.

¹³ *Ibidem*, s. 68.

¹⁴ *Ibidem*, s. 76.

zacje, pielęgnowanie własnych odrębnych tradycji, obyczajów i języka — stwarzali sobie namiastkę tego, czym żyli przedtem. Świadomie identyfikując się z narodem, z którego się wywodzili — zyskiwali swego rodzaju poczucie bezpieczeństwa, poczucie przynależności do pewnego kulturowego systemu. Powstaje jednak pytanie: jak długo tego typu świadomość narodowa cechować będzie środowisko zagranicznej Polonii? Czy dalsze jej pokolenia swój związek z Polską będą rozumieć w podobnym duchu?

Jeden z pamiętnikarzy (Stanisław Szczepański — *Zwyczajne życie*) pisze: „Czy nasze wnuki zachowają nadal tradycje polskości? Zapewne w powiązaniu i przywiązaniu uczuciowym. Ale w mowie i w piśmie raczej mało”¹⁵. Inny (Aleksander Kruszelnicki — *Choć czujemy się Duńczykami*) wyznaje: „Choć czujemy się Duńczykami, kochamy Polskę”¹⁶. Emigracyjny patriotyzm ulega zatem przekształceniom. W jakim kierunku?

Trudno jest z góry snuć pesymistyczne prognozy, tym bardziej iż ostatnio daje się zaobserwować zaskakujące zjawisko jakby wtórnego zainteresowania krajem wśród dalszych pokoleń starej emigracji. Problem jest złożony, bo emigracja emigracji nie jest równa. Z pewnością inna była pozycja, położenie i świadomość emigrujących w początkach XIX i XX w. niż tych, którzy opuszczali kraj w latach dwudziestych, a tym bardziej tuż po drugiej wojnie światowej.

Ostatnio ilość organizacji polonijnych zacieśniających w ten czy w inny sposób stosunki z krajem poważnie się zwiększyła, może zatem pesymizm jest przedwczesny. Jedno tylko można powiedzieć: wynik tej polsko-polonijnej współpracy, i co za tym idzie, rezultat jej oddziaływania na świadomość osób pochodzenia polskiego zależy przede wszystkim od inicjatywy kraju. Trzeba odpowiedniego doboru środków oddziaływania w tamtym środowisku, pełniejszej informacji o życiu w Polsce, aktywniejszej wymiany myśli i doświadczeń — słowem wzajemnego poznania, by wyrwać się z kręgu fałszywej czułościowości i sentymentalizmu.

Powróćmy do naszych pamiętników i przenieśmy się teraz do Ameryki Południowej.

W chwili obecnej w Brazylii przebywa ok. 400 tysięcy osób pochodzenia polskiego. Większość z nich to dawna, chłopska emigracja z początków tego stulecia. Brazylią przyjmowała wówczas emigrantów z otwartymi rękami, opłacała za nich podróż, gdyż po zniesieniu niewolnictwa zabrakło jej własnej siły roboczej.

¹⁵ *Ibidem*, s. 90.

¹⁶ *Ibidem*, s. 291.

Dwa pamiętniki: *Na pionierskim szlaku Mariana Hessla* i *O polską szkołę Michała Sekuły*, są pasjonującym dokumentem życia Polaków na owej egzotycznej i nieznannej „ziemi obiecanej”, ilustracją zadziwiającej ruchliwości i zaradności emigrantów, a przy tym gorącego ich patriotyzmu. Ponieważ w Brazylii przemysł właściwie jeszcze nie istniał, nowo przybyli trudnili się handlem, kupiectwem i rolnictwem. Osadnicy grupowali się w koloniach; szczególnie upodobali sobie Paragę, gdzie koło stolicy Kurytyby mieszkało ich około 20 procent.

Warunki życia były rzeczywiście pionierskie; kto zaciągał się tam do budowy pierwszych linii kolejowych, musiał być przygotowany nie tylko na walkę z puszcą i chorobami tropikalnymi, ale również i z Indianami; na rozległych obszarach głównym środkiem lokomocji były konie.

Pozycja emigrantów uległa znacznej poprawie, gdy do Brazylii zaczął ściągać element inteligencki (po 1905 roku) i gdy osadnicy dali się poznać jako ludzie zaradni i pracowici. Z początku, jak wspominają pamiętnikarze, nie mówiło się o nich inaczej niż *Polaco burro*, tj. głupi Polak. Wkrótce założono pierwsze organizacje (Związek Polski, Towarzystwo im. T. Kościuszki), pierwsze szkoły, z których wiele osadnicy wybudowali własnymi rękami. Ofiarność niektórych jednostek pozwoliła na rozbudowanie polskiego szkolnictwa w zdumiewających rozmiarach i tempie.

Jednym z niestrudzonych działaczy był Michał Sekuła. Urodzony w 1884 r. w Garwolinie, po ukończeniu seminarium nauczycielskiego w Siennicy pracował w powiecie garwolińskim jako oświatowiec z ramienia Polskiego Związku Ludowego. Rezultatem z rozmachem zakrojonej działalności było ściągnięcie na siebie uwagi władz carskich, w efekcie — od 1908 roku przymusowa emigracja polityczna do Brazylii.

Mając za sobą spory staż pracy społecznej postanowił pamiętnikarz rozbudować będące tu jeszcze w powijkach szkolnictwo, trafnie przewidując, iż podniesienie ogólnego poziomu wzmocni pozycję emigrantów wśród nieprzyjaznych im początkowo tuziemców.

Rozpoczął od okręgu Araucarii (koło Kurytyby), gdzie wkrótce przy pomocy oddanych sobie społeczników uruchomił liczne towarzystwa oświatowe, biblioteki i szkoły, zapewniając im jednocześnie odpowiednią obsadę nauczycieli i instruktorów. Pracował w różnych okręgach Parany; swą niespożytą energią, uporem i talentem zjednywania sobie ludzi potrafił pozyskać sobie polskich osadników, z początku nieskorych wcale ani do pomocy materialnej, ani do współpracy.

Sam bardzo przedsiębiorczy zajmował się handlem, a korzystając z rozległych znajomości, doradzał rodakom wykupywanie urodzajnej ziemi, tak iż wkrótce w wielu municypiach Polacy zmonopolizowali obrót produktami rolnymi.

Po pierwszej wojnie światowej, gdy powstał w Brazylii Związek Polskich Demokratów, M. Sekuła zainicjował założenie spółki akcyjnej, której dochody przeznaczono na finansowanie prasy polskiej; gdy czasowo zabroniono Polakom w Paranie nauczać po polsku (wiązało się to zawsze ze wzrostem działalności brazylijskich germanofilów), przewodniczył delegacji, która skłoniła prezydenta do cofnięcia zarządzenia.

W 1918 roku pamiętnikarz przeniósł się do Polski, w 8 lat później wrócił jednak do Brazylii, by z ramienia Naczelnego Instruktora przy Konsulacie Polskim w Kurytybie objąć stanowisko wizytatora polskich szkół. I znów z zapałem organizował zjazdy młodzieży i nauczycieli, prowadził konferencje i pogadanki, zakładał szkoły i wędrowne biblioteki, spotykał się z działaczami zrzeszeń i stowarzyszeń polonijnych.

Nie była to praca łatwa. Wymagała stałych podróży, a utrudniały ją zakulisowe rozgrywki we władzach naczelnym Związku Nauczycielstwa Polskiego Brazylii z jednej strony, a w Konsulacie Polskim z drugiej.

W latach trzydziestych życie organizacyjne wśród brazylijskiej Polonii bardzo się ożywiło z chwilą powstania Centralnego Związku Polaków. Wystarczy wymienić działające sekcje Związku: oświatową, rolną, kolonizacyjną, opieki społecznej, przemysłowo-handlową i młodzieżową.

Jako instruktor i wizytator szkół pracował M. Sekuła przez 4 lata, jednakże aż do 1938 roku doglądał „swoje” okręgi, podróżując jako komiwojażer, który to zawód specjalnie w tym celu sobie obrał.

Z chwilą wybuchu drugiej wojny światowej zgłosił się wraz z synem jako ochotnik, by walczyć w Anglii. Ze względu jednak na podeszły wiek doradzono mu, by pozostał na miejscu.

Po wyłączeniu się z pracy społecznej zajął się pamiętnikarz opracowywaniem zebranych archiwów i notatek. „Obecnie — pisze — nam na warsztacie szkice historyczne z życia Polonii w Brazylii”¹⁷.

Drugi pamiętnik z Brazylii — Mariana Hessla *Na pionierskim szlaku* — jest jakby barwnym komentarzem obyczajowym do pierwszego (jego autor przybył tu w 1907 roku z Krakowa) i, podobnie jak poprzedni, w plastyczny sposób oddaje nastrój i egzotykę pierwszych poczynań emigrantów.

Stanisław Pyzik — *Naukowiec i działacz* — znalazł się w Argentynie w 1912 roku. Pochodził z mieszczańsko-rolniczej rodziny ze Skawiny. Po ukończeniu w Polsce wyższej szkoły przemysłowej (specjalizował się w geofizyce), nie chcąc, jak pisze, „służyć w wojsku i walczyć za Najjaśniejszego Pana”¹⁸ w c. k. armii, wyjechał do Pasadas, gdzie

¹⁷ *Ibidem*, s. 203.

¹⁸ *Ibidem*, s. 208.

po przejściowych trudnościach osiągnął to, czego nie zdobył żaden z pamiętnikarzy: zyskał uznanie jako świetny fachowiec i wykładowca, zrobił karierę naukową, która pozwoliła mu na piastowanie wysokich stanowisk w ministerstwach i instytutach argentyńskich.

Pracując w stacji hydro-meteorologicznej ministerstwa robót publicznych i kończąc jednocześnie studia, zasłynął jako konstruktor i wynalazca różnych aparatów pomiarowych. W 1934 roku, po krótkim pobycie w kraju, zreorganizował na wzór polskiego PIM-u instytut meteorologiczny w Argentynie. Uzyskawszy potem nominację na wykładowcę w wyższych szkołach przemysłowych, został mianowany doradcą technicznym Instytutu Lotnictwa. Poświęcając się pracy zawodowej, pamiętnikarz był również aktywnym działaczem w polonijnych zrzeszeniach związkowych, redaktorem pisma Towarzystwa Polskiego „Wiadomości Polskie”, a także jednym z założycieli Stowarzyszenia „Wolna Polska”.

Podobnie jak i w Brazylii, współpraca Konsulatu Polskiego z polonijnymi działaczami pozostawiała wiele do życzenia. Mnożyły się oszczerstwa i donosy, a Stanisława Pyzika dwukrotnie aresztowano, pomawiając go o pracę dywersyjną.

W powstałym w 1927 roku w Argentynie Związku Polaków przez szereg lat sprawował naukowiec funkcje sekretarza i prezesa, a także redaktora do dziś istniejącego pisma „Głos Polski”.

W roku 1934, doceniając wagę kontaktów z krajem, jak również potrzebę propagowania o nim wiadomości, powołał pamiętnikarz Instytut Kulturalny Argentyńsko-Polski i patronował przez wiele lat jego działalności. „Organizowałem [...] przyjęcie statku «Dar Pomorza». Współpracowałem z wyprawą alpinistów polskich. Szczególnie uroczysty był obchód czterechsetnej rocznicy śmierci Mikołaja Kopernika, przy udziale czołowych przedstawicieli instytutów naukowych, rocznicy śmierci gen. Iwanowskiego, rocznicy śmierci wielkiego przyjaciela Polski, dra Józefa Manuela Estrada, oraz wiele innych. Instytut podejmował I. Paderewskiego, organizował konferencje na Uniwersytecie Filozofii i Literatury, przyjmował szachistów polskich. W ramach prac Instytutu wygłosiłem w radio państwowym wiele pogadanek o roli Polaków na terenie Argentyny”¹⁹.

Pracy społecznej poświęcał się Stanisław Pyzik ponad 50 lat, zbierając jednocześnie materiały i informacje o Polakach, nawet tych najdłużej w Argentynie zamieszkałych. Napisał o nich zresztą książkę po hiszpańsku pt. *Los Polacos en la Republica Argentina*, której odpowied-

¹⁹ *Ibidem*, s. 228.

nikiem ma być nieukończona jeszcze przez autora praca *150 lat Polonii Argentynskiej*.

Chociaż *Pamiętniki emigrantów* zawierają 11 pozycji, zatrzymaliśmy się dłużej na czterech z tego względu, iż wydawały się najbardziej charakterystyczne. Warto jednak pokrótce wspomnieć i o pozostałych.

Jan Siuciak — 29-letni robotnik z Milanowa (*Lata tułaczki*, Urugwaj) i Stanisław Szczepanik — 33-letni tkacz z okolic Gorlic (*Zwyczajne życie*, USA), wyjechali z Polski w latach dwudziestych tego wieku w „nieznany świat, w poszukiwaniu chleba i lepszej doli, tak jak inni”²⁰. Oba pamiętniki, zgodnie ze swymi tytułami, są opisem zwyczajnych zmagañ ich autorów z przeciwnościami twardego, emigracyjnego żywota polskich robotników i właściwych emigrantom reakcji: tęsknoty za krajem, pieczołowitej pielęgnacji wpojonych im za młodu obyczajów i nawyków, chęci niesienia pomocy pozostałej w kraju rodzinie. Oto co pisze np. Jan Siuciak: „to mnie najwięcej cieszyło, że już będę mógł zwrócić długi za podróż i dopomóc mamie, żeby kupili sobie kierat do rżnięcia sieczki, bo do tej pory musieliśmy rżnąć rękoma. Widziałem, jak matka i siostry musiały się mordować z tą robotą. Posłałem więc pierwszej do domu, do rodzinnego Milanowa pod Warszawą, 100 dolarów, żeby kupiły ten kierat”²¹. Podobnie i bezrobotny w Polsce Józef Popenda (*35 lat na obczyźnie*) ruszył w 1923 roku do Francji, by wraz z rodziną znaleźć na obczyźnie pracę i możliwość egzystencji.

Los kobiety (Rumunia) — pamiętnik Michaliny Wakszyc, stanowi wśród innych pewien wyjątek. Jest to raczej esej obyczajowy o Rumunii, napisany z kobiecą drobiazgowością i dużym zmysłem obserwacyjnym, opis życia Polki, „emigrantki z miłości”, która wychodząc za Rumuna (z pochodzenia Polaka) wiernie spędziła życie u boku męża, kontakt z krajem utrzymując jedynie przy pomocy listów.

Fragmentaryczne wspomnienia Aleksandra Kruszelnickiego (*Choć czujemy się Duńczykami*) ukazują ciekawy obraz warunków życia polskich robotników rolnych na wyspach Lolland i Falster w Danii. Większość z nich znalazła się tam w początkach XX wieku (ok. 12 tys. osób) zwabiona możliwością zaciągnięcia się do pracy w rozwijającym się tam wówczas przemyśle cukrowniczym (autor — z pochodzenia Lwowiak, przybył tu jako 16-letni chłopak). Ponieważ jednak emigranci jako tania siła robocza stanowili groźną konkurencję, trzeba było wielu lat, by stosunki z ludnością miejscową znośnie się ułożyły. Z czasem ustabilizowały się też i warunki bytowe nowo przybyłych; jak wszędzie na obczyźnie utworzono organizację polonijną — Związek Polski w Danii.

²⁰ *Ibidem*, s. 235.

²¹ *Ibidem*, s. 239.

Interesujące są wszakże refleksje autora nad patriotyzmem przybyłych na Lolland-Falster osadników. „Większość z nich — pisze A. Kruszelnicki — stała się stopniowo Duńczykami w sposobie myślenia, obyczajach i przekonaniach, w trybie życia, choć nigdy nie zapomnieli kraju swych ojców [...] Staramy się utrzymać jak najściślejszą łączność z krajem oraz przekazywać naszej młodzieży wiadomości z historii Polski i uczyć ją języka ojczystego. Choć czujemy się Duńczykami, kochamy Polskę. Dostajemy książki i prasę polską, którą rozprowadzamy wśród Polaków, i w ten sposób staramy się, by polska mowa nie wygasła wśród miejscowych Polaków. Cieszymy się tym, co buduje się obecnie w Polsce. Chętnie odwiedzamy i będziemy odwiedzać nasz kraj ojczysty, jakim jest i pozostanie Polska”²².

Pamiętniki emigrantów kończą się wspomnieniami Mariana Mioduszewskiego, byłego żołnierza II wojny światowej, który po jej zakończeniu osiedlił się w Walii (miał wówczas 33 lata). Pamiętnik, napisany zresztą z zadziwiającą swadą i polotem, oddaje obraz emigracji nieco „nowszej”, choć nurtowanej podobnymi jak dawna problemami.

W sumie edycja pamiętników, zaprezentowana nam przez Wydawnictwo „Polonia”, stanowi bardzo interesującą i pouczającą pozycję. Skrótów w pamiętnikach dokonane zostały celowo, chodziło bowiem o uwypuklenie zagranicznych losów emigrantów. Jest to lektura, niezależnie od takich czy innych wniosków, które można z niej wysnuć, budująca w swej prostocie i wymowie. Autorzy wspomnień, niezależnie od miejsca pobytu, stawali się (czasem nawet nieświadomie) orędownikami polskości, rzecznikami polskiej kultury i interesów kraju. Wspomnienia ich cechuje wzruszająca wytrwałość w utrzymywaniu więzów z krajem: czy to poprzez kontakty rodzinne, wycieczki, czy poprzez działalność w organizacjach, lekturę pism, z których dowiadują się, jak i czym żyje kraj, do którego prawdopodobnie nigdy już nie wrócą. Szczególnie istotny jest, poruszany przez nieomal każdego z autorów, **problem szkół polskich na emigracji**, gdyż bez dostatecznej znajomości języka wśród dalszych jej pokoleń trudno będzie mówić o utrzymaniu innej, niż czysto sentymentalnej, czyli w rezultacie łatwo zniszczalnej więzi z Polską.

²² *Ibidem*, s. 291.